

## Filip Memches: Potrzebna desarmatyzacja

Spór o sądownictwo w III RP jest odzwierciedleniem sporu o państwo, o jego wewnątrz-sterowność względem sił, które są „odpolitycznione” i kształtują opinię publiczną w Polsce w zakresie tego, kto jest autorytetem, a kto nie – pisze Filip Memches w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Powrót polityczności.

Przy okazji trwania niedawnego parlamentarnego sporu o polskie sądownictwo, mieszkający w Australii bloger Jerzy Gawin przypomniał na Facebooku ważny tekst Ryszarda Legutki „Sarmaci wczoraj i dziś”, który w roku 2011 ukazał się na łamach „Polonia Christiana”. Legutko, rozprawiając się z dziedzictwem demokracji szlacheckiej, wypunktował problemy, które stanowią istotę słabości władzy politycznej w III Rzeczypospolitej. Warto zatem zastanowić się nad tezami zawartymi w tym tekście. Historia bowiem może się okazać kluczem do zgłębienia istoty tego, czego jesteśmy świadkami w związku z bieżącą batalią o polskie sądownictwo.

Pierwsza teza Legutki wskazuje największego wroga wolnych obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów, za których uważała się szlachta. To państwo, a konkretnie król. Aspiracje monarchy do wzmacniania swojej władzy traktowane były przez szlachtę jako absolutystyczne zakusy ograniczające „złotą wolność”.

Druga teza Legutki dotyczy ustroju Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wbrew nazwie tego państwa było ono tworem głęboko antyrepublikańskim. Jego ustrój słusznie określany jest mianem demokracji szlacheckiej, bowiem nie stał on na straży dobra wspólnego, lecz stanowił sposób obrony interesów grupy stojącej na czele piramidy społecznej.

Czy czegoś nam to nie przypomina? Oczywiście III Rzeczpospolitą, która ma swoje elity używające rozmaitych mechanizmów, pozwalających im zachować swój polityczny i ekonomiczny stan posiadania. Na to zresztą zwraca uwagę Legutko, kiedy pisze o lewicowo-liberalnym salonie, czyli politykach, naukowcach, artystach, dziennikarzach obdarzonych swoistym szlachectwem. Do salonu tego należy część dawnych działaczy Solidarności. Dziś angażuje się ona w protesty antypisowskiej opozycji.

To znamienne dla naszych czasów, że przymiotnik „polityczny” stał się w Polsce niemal epitetem, który ma przywołać na myśl autorytarne tendencje przejawiające się w ograniczaniu swobód obywatelskich

I tak przeciwko reformie sądownictwa występują legendy solidarnościowego podziemia, między innymi Władysław Frasyniuk i Jan Rulewski. Ten drugi urządził w Senacie swojego rodzaju happening, występując w trakcie

debaty nad ustawą o Sądzie Najwyższym w drelichu więźnia zakładu karnego. Kto jednak zdecydował o tym, że Frasyniuk i Rulewski będą autorytetami, których opinie z uwagi na przeszłość tych polityków nie wypada podważać, natomiast przykładowo Andrzej Gwiazda czy Kornel Morawiecki – inne legendy solidarnościowego podziemia, tyle że popierające „dobrą zmianę” w kwestii reformy sądownictwa, takiego szlachectwa nie uzyskają? To pytanie bez odpowiedzi.

Kiedy Jarosław Kaczyński użył określenia „gorszy sort” wobec Polaków donoszących na swój kraj za granicą, spotkał się z falą oburzenia środowisk opozycyjnych. Tyle że te same środowiska, choć nie mówią o „gorszym sortcie”, i może nawet zdarza im się używać równościowo-inkluzywistycznej retoryki, to jednak od ćwierć wieku w swoich konkretnych zachowaniach sortują Polaków na lepszych i gorszych. Wystarczy przywołać arogancję, z jaką elity III RP długi czas traktowały ludzi, którzy ledwo wiązali koniec z końcem.

Obecny spór o polskie sądownictwo odsłania kolejny wymiar demokracji szlacheckiej XXI stulecia. Sędziowie występujący przeciwko „upolitycznieniu” swojej władzy, pod pretekstem obrony jej niezawisłości zachowują się tak, jak przystało na strażników sarmackiego modelu państwa.

To bardzo znamienne dla naszych czasów, że przymiotnik „polityczny” stał się w Polsce niemal epitetem, który ma przywołać na myśl autorytarne tendencje przejawiające się przede wszystkim w ograniczaniu swobód obywatelskich. Problem polega jednak na tym, że

skutkiem bolesnych doświadczeń związanych z XX-wiecznymi totalitaryzmami jest skłonność Polaków do absolutyzacji wolności, czemu towarzyszy ich podejrzliwość wobec polityków.

W tym właśnie tkwi źródło pewnego dyskursu, na gruncie którego tylko państwo, czyli władza polityczna jawi się jako zagrożenie dla jednostki, natomiast wielkie ponadnarodowe korporacje, globalne instytucje, organizacje pozarządowe i generalnie wszelkie potężne grupy interesów już nie. A przecież one mają możliwości anonimowego oddziaływania na sytuacje w poszczególnych krajach, korzystając z „wolnej” wymiany handlowej, „społeczeństwa obywatelskiego” czy – tam gdzie takowe występuje – „odpolitycznionego” sądownictwa.

Kornel Morawiecki, inaugurując jako marszałek senior 12 listopada 2015 roku prace Sejmu VIII kadencji, wskazał więc bardzo istotną różnicę między PRL a III RP, między realnym socjalizmem a demokracją liberalną: „Przed laty nie zgadzaliśmy się na komunistyczną dominację polityki nad gospodarką i mediami. Dziś nie możemy zgadzać się na panowanie pieniądza nad polityką i nad prawdą”.

Spór o sądownictwo w III RP jest zatem odzwierciedleniem sporu o państwo, o jego wewnątrzsterowność względem sił, które są „odpolitycznione” i kształtują opinię publiczną w Polsce w zakresie tego, kto jest autorytetem, a kto nie.

Warto tu wrócić do ujawnionej w roku 2014 przez tygodnik „Wprost” sławetnej rozmowy ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Bartłomieja Sienkiewicza z Markiem Belką, sprawującego wtedy funkcję

prezesa Narodowego Banku Polskiego. Sienkiewiczowi dostało się za pamiętne słowa o tym, że Polska jest „państwem teoretycznym”. A przecież były one nie tylko fragmentem nieformalnych negocjacji dwóch prominentnych urzędników państwowych, ale niezwykle trafną diagnozą kondycji, w jakiej znajduje się polska polityczność.

Jeśli nawet Sienkiewicz zasługuje na krytykę jako polityk, to nie można mu odmówić przenikliwości analityka i błyskotliwości publicysty. Uwaga o „państwie teoretycznym” była w jego przypadku owocem lektury pewnej intrygującej książki. Chodzi o opublikowane w roku 2011 „Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą” Jana Sowy. Skądinąd pewnego smaczku sprawie dodaje – chyba przypadkowa – zbieżność nazwiska autora tej pozycji z nazwiskiem właściciela restauracji, w której niegdysiejszy szef MSW został nagrany.

Sienkiewicz recenzował książkę Sowy na łamach „Przeglądu Politycznego” w roku 2012, czyli zanim został ministrem spraw wewnętrznych. W tekście pod wymownym tytułem „Państwo na niby” stawiał tezę o tym, że III RP dziedziczy ciężkie brzemie pozostawione przyszłym pokoleniom przez Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Chodzi o słabość władzy państwowej, przewagę prywatnych interesów najbogatszej warstwy społeczeństwa nad dobrem wspólnym oraz oligarchiczny model gospodarki.

Sama książka Sowy przedstawia czasy wolnej elekcji jako epokę państwa, które istnieje tylko de iure, ale nie de facto, co wynika z tego, że władzę królewską cechuje słabość i niemoc wobec szlacheckiej

„złotej wolności”. Dlatego – przekonuje autor – społeczeństwo polskie stoczyło się w otchłań chaosu, czego zwieńczeniem okazały się rozbiory.

Według Sowy „miejsce w międzynarodowym podziale pracy, które zajęła Polska na skutek zdominowania jej gospodarki przez system folwarczno-pańszczyźniany, okazało się na dłuższą metę fatalne. Dzisiaj z imperium zbożowo-ziemniaczanego Polska przerodziła się w mini-imperium AGD i montowni samochodów”.

Podobieństwo diagnoz dotyczących kondycji polskiej polityczności, tak różniących się światopoglądowo między sobą osób, jak lewicowiec Sowa, liberał Sienkiewicz i konserwatysta Legutko, może zaskakiwać. W tej sprawie podziały przebiegają inaczej niż te, do których przyzwyczaili się odbiorcy mediów III RP. Antysarmackie ostrze Sowy może się kojarzyć nie tylko z twórczością takich lewicowych myślicieli, jak Stanisław Brzozowski, ale i z dorobkiem galicyjskich stańczyków oraz narodowych demokratów.

W tym kontekście trzeba krytycznie się odnieść do tej części polskiej prawicy, polskich konserwatystów, która bałamuci opinię publiczną narracją o jakimś szczególnym znaczeniu sarmatyzmu dla dziejów Europy, o demokracji szlacheckiej jako prekursorce liberalnego modelu państwa i społeczeństwa oraz jako wzoru do naśladowania dla narodów Starego Kontynentu. Mamy w tym przypadku do czynienia z niczym innym, jak z sentymentalną idealizacją Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Tymczasem polska kultura polityczna wymaga dziś desarmatyzacji – dowartościowania sprawczości państwa. Takie wnioski płyną także z awantury wokół sądownictwa.

Na koniec warto przytoczyć konkluzję z przywołanego wyżej tekstu Legutki: „Współcześni mają nad przodkami tę przewagę, że nie muszą sobie dorabiać sztucznego, pseudoantycznego rodowodu: Sarmatów zastąpiła bowiem sarmacka szlachta. Ci, którym się taka tradycja nie podoba, nie są jednak skazani na samotność. Mogą przede wszystkim zacząć się uczyć na błędach własnego narodu, ale mają też Mochnickiego (choć salon powie, że to ramota i obciach, nikt tego nie czyta), mają Dmowskiego (zaraz wrzasną, że antysemita, czytać go więc nie wolno), mają też w końcu człowieka, którego wciąż można posłuchać, choć według zgodnego chóru samozwańczych mądrali stanowi on największe zagrożenie dla państwa”.

*Fot. Bernard Oleszek/Blogpress*